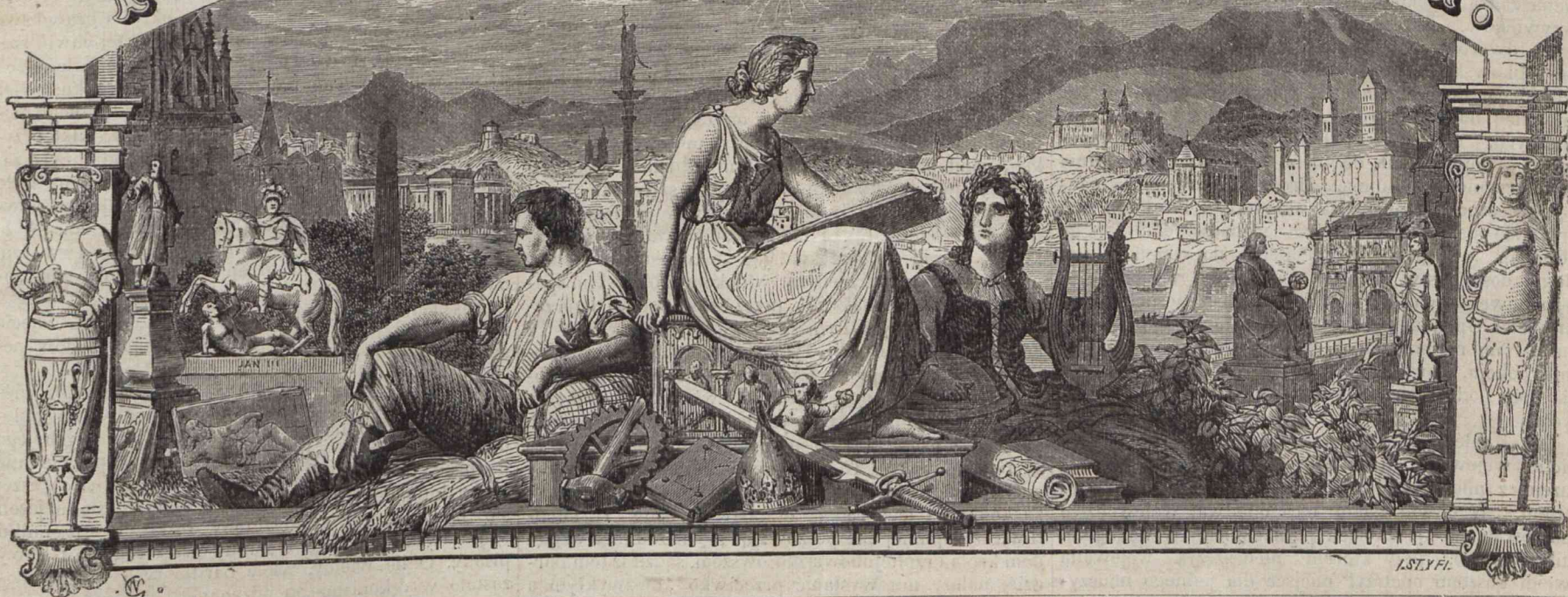


TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 199.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 18 lipca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Krzysztof Opaliński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Korrespondencya od redakcyi. — Kilka słów o przedmieściu krakowskiem Kaźmirzu (z drzeworytem). — Dawny herb Pragi (z drzeworytem). — Kościół paraafialny w Rejowcu (z drzeworytem). — Scena z „Fausta“ Lessinga (więrsz). — Przegląd polityki zagranicznej. — Miłość i bassetla dokonczenie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus.

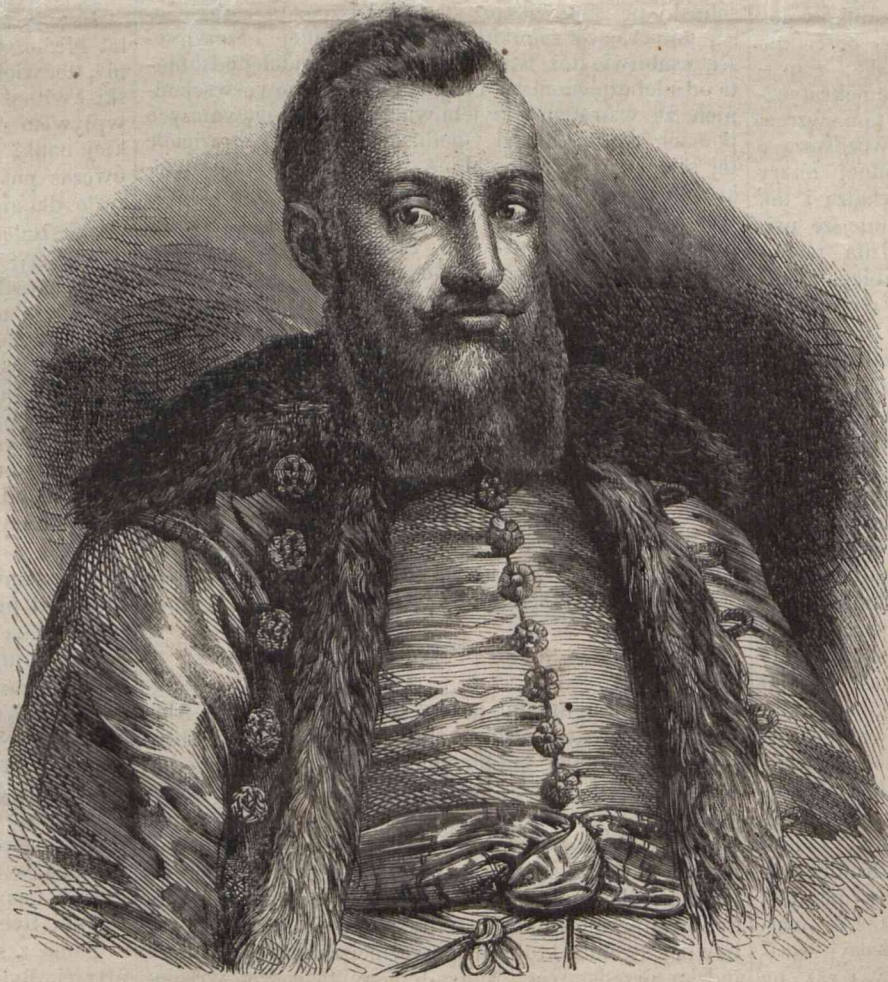
Krzysztof Opaliński.

Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański, starosta szremski i osiecki, pamiętny jest jako potomek jednego z najdawniejszych i najzasłużniejszych domów w dawniej rzpltej, jako autor głośnych satyr do poprawy rządu i obyczajów w Polsce, a wreszcie jako główny sprawca aktu poddania się Szwedom pod Ujściem w 1655 roku. Tak różne trzy rodzaje sławy, które złożyły się na uwiecznienie Krzysztofa w pamięci potomnych, zasługują na bliższe poznanie i ocenienie.

Dom Opalińskich wyszedł od sławnych panów na Bninie herbu Łódzia, którzy już z pierwszymi Bolesławami chodzili na boje rycerskie, zdobywając Kijów, osadzając królów po sąsiednich tronach Węgier, Czech i Rusi, stając niezwalczoną ścianą w obronie zachodniej granicy od Niemców; za co rosnąc w znaczenie, majątek i sławę, nieprzerwanym, świetnym wieńcem kasztelanów, biskupów, wojewodów, otaczali tron panujących. Jednym z najpamiętniejszych między panami na Bninie, jakby głową całego rodu, był za Władysława Jagiełły biskup poznański Jędrzej, mąż wielkiej pobożności, powagi i nader energicznej woli. Żył w czasie gdy do Polski z sąsiednich Czech zaczęła się przemieszczać potężna przez kościół nauka Husa. Liczni panowie chwycili się tej nowej wiary. W Wielkopolsce głównym jej obrońcą był Abraham ze Zbąszyn, sędzia poznański, wiodący swój ród od jednego z nieprawych synów Kaźmirza W. i tak groźny przeciwnik duchowieństwa katolickiego, że sam biskup poznański Stanisław Ciołek musiał przed nim uciekać do Krakowa, gdzie i umarł; a tymczasem w jego dycyzyi swobodnie szerzyła się nowość religijna, założywszy główne swe ognisko w Zbąszynie. Ale następca Ciołka Jędrzej z Bnina pokazał, że potrafi bronić swych praw pasterskich. Z licznych orszakiem swoich bratanków napadł raz na Abra-

hama, odprawującego sądy w ratuszu poznańskim, i tak go ścisnął, że sędzia schronił się aż pod stół i tam uniknął ciosu. Ale energiczny biskup nie przestał na tém; wkrótce z 900 jeźdźcami obległ Zbąszyn i tak zastraszył mieszczan, iż aby ująć ostatecznego zniszczenia, wydali mu pięciu kaznodziejów hussyckich, których nieublagany biskup kazał spalić na stosach, wzniesionych na pustkowiach leżącym o trzy lub czte-

skich. Jakby odpowiadając groźnemu wspomnieniu, uwiecznionemu w ich nazwisku, wszyscy Opalińscy gorzeli wielką miłością wiary, prawdy i kraju. Osobliwie staropolska otwartość w mowie i przywiązanie do ojczyźtych obyczajów, były odznaczającą ich cnotą. Zład wielka ich wziętość u szlachty; zład z czasem, gdy panowie troskliwi o przyszłość kraju przemogli na Zygmuncie Starym, że złe chowanego syna wziął z pośród kobiet i Włochów, dano mu za przewodnika jednego z Opalińskich, sławnego z rozumu i powagi Piotra z Bnina, kasztelana gnieźn. Za Stefana Batorego Jędrzej Opaliński marszałek w. k. miał tak wielkie zachowanie u tego króla, że umierając mianował go razem z Janem Zamojskim wykonawcą swego testamentu. Za Zygmunta III wślawił się licznymi posługami publicznymi biskup poznański Jędrzej Opaliński; on to wyjednał Polakom u papieża pozwolenie jadania wieczerzy w soboty wielkopostne. Pomijając bardzo wiele znakomitości z rodziny panów na Bninie, zatrzymamy przez chwilę uwagę już tylko na bezpośrednim poprzedniku i ojcu Krzysztofa, Piotrze Opalińskim, który chociaż zgał bardzo młodo, bo zaledwie w 37 roku życia, jednak dał dowody znakomitej odwagi rycerskiej w dwóch wyprawach z królewiczem Władysławem przeciwko Moskwie i pod Chocimem. Nagrodą tej gorliwości obywatelskiej była najprzód za pierwszą wyprawą kasztelania poznańska, 1618 r., a za drugą województwo poznańskie, 1624. Zalecając się dziedzicznymi cnotami, Opalińscy prawie bez przerwy i jakby dziedzicznie brali najpierwsze godności w Rzeczypospolitej, a szczególnie w Wielkopolsce: kasztelania gnieźnieńska, kasztelania i województwo tudzież biskupstwo poznańskie, prawie nie wychodziły z domu Opalińskich; szlachta przywykła znajdować w nich wzór cnot obywatelskich i najchętniej widziała ich na swoim czele. To wysokie o sobie rozumienie królów i braci szlachty utrzymywali Opalińscy starannym przygotowaniem się do życia publicznego i pilnym a światłem służeniem Rzeczypospolitej. W ciągu długiego szeregu wieków tyle zasług położył ten dom i tyle nań spłynęło zaszczytów, że urosły one jakby w gmach świętyny, którego dalsi dziedzice potrzebowali ledwie cokolwiek przyczyniać z siebie, a nawet prawie dość im było tylko zamieszkać go, aby używać wysokich korzyści jakie zapewniał. Jakiśmy widzieli z krótkiego



KRZYSZTOF OPALIŃSKI (podług sztychu Meyssensa.)

ry mile na zachód od Poznania. Abraham Zbąski umarł ze zmartwienia, hussyci przerażeni opuścili Wielkopolskę, a biskup Jędrzej na miejscu stracenia niebezpiecznych kaznodziejów zbudował z czasem miasteczko, na pamiątkę zaszłego tu zdarzenia nazwane Opalenicą. Opalenicę wziął dziedzictwem jeden z synówców biskupich i zład poszła nowa odrośl sławnego rodu Łódziców z nazwą Opaleńskich lub Opaliń-

zastanowienia się nad historią Opalińskich, jeszcze ojciec Krzysztofa, chociaż pamiętał o zasługach domu, z szlachetnym jednak zapalem rwał się do czynów rycerskich i służby obywatelskiej, aby nakładem własnych sił coś przyczął do rodzinnych zaszczytów. Ale ku połowie XVII wieku rycerstwo nasze, naprzekór nazwisku i wspomnieniom, opanowała niepowstrzymana żądza spokoju, wczasu i używania zdobytych przywilejów. Rzeczpospolita rozprasza się w mnóstwie dworów i dworków, w których rozpoczyna się sobkowski gwar prywaty i coraz trudniej już zebrać ją do wspólnych, wyższych przedsięwzięć. Im mniej nowych czynów, poświęcenia i zasług publicznych, tym więcej było liczenia się z przeszłością, popisowywania dawnymi zaszczytami i obrażania każdą czynioną im ujmą. Urodzenie liczone za naukę, waleczność, zasługę, za wszystko, i tytuł ten sam przez się stawał się wielkim odznaczeniem; kto go posiadał, uważał się za zdolnego do wszelkich posług i dostojenstw. Jednym z głównych wyobraźnieli tego nowego zwrotu w dziejach rzeczypospolitej był Krzysztof Opaliński, człowiek wielkiego o sobie i domu swoim rozumienia, obfitego słowa, zbytni miłośnik pokoju, który okupił smrotnym aktem poddania się pod Ujściem. Przebiegniem szczegóły jego życia.

Liczył zaledwie czternaście lat wieku gdy go ojciec Piotr wojewoda poznański odumiał w 1624 roku, razem z młodszym bratem Łukaszem i trzema siostrami. W chwili zgonu ojca obadwaj wojewodzie znajdowali się w szkołach poznańskich, w kolegium Lubrańskiego, przy którym nieboszczyk wojewoda swoim kosztem opatrzył miejsce dla jednego nauczyciela, i ten wydział w kolegium zwał się szkołą sierakowską, od głównej siedziby tej gałęzi rodu Opalińskich. Młodzi wojewodzie pod okiem matki, Zofii z Kostków kasztelaniki bieckiej, stryja rodzony Jana wojewody kaliskiego a wkrótce poznańskiego, tudzież stryja nieco dalszego, Łukasza marszałka nadwornego a potem wielkiego, pobierali bardzo staranne wychowanie naukowe i obywatelskie. Skończywszy je w kraju, ówczesnym zwyczajem wysłani zostali do akademii zagranicznych i najprzód w Rzymie i Neapolu, a potem w miastach nadreńskich, osobliwie w Lowanium, dokończali swego naukowego wykształcenia. Pobyt w akademiach zagranicznych, dawniej tak pożyteczny, bo nam usposobił gruntownie tyłu znakomitych ludzi, ze zmianą stosunków politycznych w zachodniej Europie, stał się pośrednio bardzo dla nas szkodliwym. Młodzież polska, z urodzenia przywykła do pojęć szlachecko-demokratycznych, gdy przybyła za granicę, widząc tam wzrost władzy królewskiej, stawała się tym trwożliwszą o własne prawa i przywileje; nie znała żadnej miary w ograniczaniu swych królów, których władza i tak była w zupełnym upadku. Każde, by najmniejsze usiłowanie do podziwignienia tej władzy sledziła podejrzliwie i najzbawienniejszym reformom zabiegała najniebaczniej. To pojęcie wpoili sobie obaj wojewodzie, a szczególnie starszy Krzysztof, i gdy w 1634 r. wrócił do ojczyzny, w tym duchu rozpoczął swój zawód publiczny. Właśnie odbywał się sejmik wielkopolski w Środzie, któremu przewodniczyła rodzina Opalińskich, i młody dziedzic Sierakowa postanowił popisać się przed rodziną i bracią szlachcią rozumem i nauką, tudzież dowieść, że godnym jest aby zaszczyty przodków i zaufanie szlachty przelało się na niego. W składnie ułożonym głosie przemówił uczenie i skromnie, czém tak sobie ujął serca współbraci, że go obrała posłem na sejm następny, młodzieńcowi wprost z ławy szkolnej powierzając ważne i trudne posłannictwo przedstawiania prowincji i stanowienia o losach narodu. Urodzenie i znana prawość familii zdała się dostateczną rękojmią uzdolnienia.

Z chwilą gdy młody Krzysztof występował na widownię polityczną, w sprawach rzpltej zachodziła wielka zmiana. Zamiast starego, upartego, poddanego obcym wpływom Zygmunta III, obejmował rządę zdolny i patriotyczny syn jego Władysław. Wsparty radą i pomocą dwóch wielkich ludzi, Stanisława Koniecpolskiego i Jerzego Ossolińskiego, uświetniony pomyslnością oręza, nowy król pragnął skorzystać z wojny trzydziestoletniej i odzyskać od Szwecyi stracone niegdys Inflanty; urządzić Kozaków i raz na zawsze ubezpieczyć południowo-wschodnią granicę od Turcyi i Tatarów; wreszcie podnieść władzę królewską i jej przewagą nachylić szalę sprawiedliwości i ku innym upośledzonym przez przywilej warstwom narodu. Z nową myślą, z żądzą czynów, przebiegło nowe życie po drętwiejących członkach rzpltej. W jednych odezwało się ono radośnym poglądem w przyszłość i gorącą chęcią współdziałania; w drugich trwożliwą obawą o wywalczone przywileje, zdobyte wyłączone stanowisko, o upragniony

wczas i spokój; słowem ciemne i poziome widoki prywaty, zdrząły w obec potrzeby nowych usiłowań i poświęceń. Do tej drugiej kategorii spokojnych należał i nasz Opaliński. Właśnie pojał był w dożgonne towarzystwo dziedziczkę znakomitego rodu imienia, Teresę z Sędziwojów-Czarnkowskich wojewodżiankę łączycką. Obsypany niezliczonymi pochwałami i pochlebstwem w tym wieku upowszechniających się panegiryków, otoczony dziedziczną wziętością u szlachty, młody i bogaty pan Sierakowa pędził życie w spokoju i szczęściu rodzinnem, z niechęcią słuchając o zbytniej i niepotrzebnej, jak sądził, energii nowego króla. Razem z podobnie jak on usposobionymi, najmocniej odradzał królowi rozpoczynanie wojny szwedzkiej, ganił porozumienie się w tym względzie z Danią i straszył jej przykładem, że wojna szwedzka może ściągnąć tylko klęski. Jako „ostateczny środek“ obrony od Szwedów radził nie dawać im żadnej zaczepki, nie zbroić się, przekładając że to jedno ocalić nas może. Mimo tak przeciwny widokom królewskim sposób myślenia, jednak gdy przez śmierć stryja Jana zaważowało województwo poznańskie, Władysław IV oddał je Krzysztofowi. Tym sposobem 28-letni młodzieniec, który nie miał jeszcze ani czasu, ani sposobności okazać się godnym tak wielkiej dostojności, otrzymywał jedno z najwyższych krzesel w senacie polskim i prawo do głosu prawie najdonośniejszego w radach rzpltej. To wysokie a niezasłużone jeszcze odznaczenie, przyjmował Opaliński jako hołd należny znakomitości jego rodu, osobistych zasług i talentów, bynajmniej nie poczuwając się do żadnego względem króla i rzpltejobowiązku; owszem, sądził iż tym bardziej należy mu wystąpić przeciwko „niezwykłym a szkodliwym, według niego, manierom rządu.“ Sposobność do takiego wystąpienia podał Opalińskiemu sejm 1638 r., pamiętny śmiałem wystąpieniem szlachty przeciw królowi i jego doradcy Ossolińskiemu, usiłującym skłonić naród do przyjęcia chlubniejszej dlań polityki czynu.

Po odprawionem świetnem poselstwie do papieża, Wenecyi i cesarza, wracał Ossoliński z plonem zawartych sojuszów, mających za cel zapewnić rzpltej pomoc w zamierzonej wojnie ze Szwecyą, a potem z Turcyą. Aby obudzić tym większy zapal do wojny, pragnął król ustanowić nowe rycerstwo polskie, pod znakiem Niepokalanego Poczęcia N. P., do czego Ossoliński przygotował już statut. Ale szlachta, coraz więcej nabierająca zamilowania w spokojnej beczynności, osobliwie też wielkopolska, jako najdalej odsunięta od niebezpieczeństw i napadów południowo-wschodnich, ze wstrętem przyjęła wiadomość o wojowniczych planach rządu. Młodzi Opalińscy, jako wyobraźnieli tej szlachty i jej usposobień, wbrew swojemu wiekowi i obyczajowi przodków, co gościncem krwawej zasługi rycerskiej wchodzili do rady królewskiej, byli stanowczo za pokojem. Starszy Krzysztof w senacie, młodszy Łukasz jako marszałek koła poselskiego „przypostrzegając królowi“, jak świadczy w swych pamiętnikach Albrycht Radziwiłł, osobliwie zaś energicznie napadając na „stryja“ swego Jerzego Ossolińskiego, udaremnił zamiary rządu. Polityka spokojnej beczynności przemogła i Opalińscy, obsypani pochwałami niedaleko widzącej braci szlacheckiej, tryumfowali.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Przed kilku dniami gazety doniosły o śmierci Aleksandra Bryndzy, pisarza aktowego królestwa, i krótkie wspomnienia pośmierne oddały mu sprawiedliwość jako zdolnemu prawnikowi, jako człowiekowi prawemu i powszechnie żalowanemu. Bliżsi znajomi i przyjaciele znali wysoką jego intelligencyą, niepomierne wykształcenie i wesoły, oryginalny, nieprzymuszony dowcip, niezależący na obmowie ani wydrwiwaniu, ale szukający źródła dla siebie w tej zabawnej stronie, którą najpoważniejsza nawet czynność ludzka przedstawia. Najtrudniejszy to rodzaj wesołości i najrzadziej spotykający się; krytycy nazywają go humorem angielskim. Kiedyś ś. p. Bryndza posiadał niewyczerpany zapas tego humoru. Upadek na zdrowiu, idące w ślad za nim cierpienia chroniczne i inne jeszcze okoliczności wpłynęły na zmianę jego usposobienia i ową wrodzoną wesołość pokryły tęskną i smętną barwą, którą aż do śmierci zachował. Z tych jednak lepszych chwil jego życia, z tej jego młodości promieniającej, pozostały ślady, o których wiedzą zaledwie bliżsi przyjaciele i towarzysze mło-

dości zmarłego. A i tych już coraz mniej na świecie, bo młodość ta dalekich od nas sięgała czasów.

W wyjątkowym stanie, w którym się w różnych czasach społeczeństwo nasze znajdowało, niekażdy mógł iść drogą jaką mu naznaczały usposobienie jego i przyrodzone popędy. Owóż Bryndza miał powołanie na literata. W chwili jednak kiedy zależał od niego wybór zawodu (jak trafnie ten wyraz określa prawdziwe znaczenie swoje) jakiemu się miał oddać, w tej chwili rzemiosło literata było daleko jeszcze niedostępniejsze aniżeli dzisiaj. Żadnego ono nie nastęrczało zarobku; więc tylko ludzie mający zkadinał utrzymanie, mogli się bawić w piśmiennictwo, reszta zaś, byli to tylko przypadkowi pracownicy, którzy oderwane od innych zajęć chwile obracali na literackie prace. Trzeba było myśleć o czémś poważniejszém, nastęrczającém pewniejszy zarobek. I Bryndza został prawnikiem. A że zdolność i praca wszędzie popłacają, więc i w tym trudnym zawodzie potrafił on zjednać sobie zasłużoną wziętość.

Nas jednak obchodzą tu tylko literackie zajęcia zmarłego i im wyłącznie zamierzamy parę słów poświęcić.

Z tego co w młodości swojej pisał Bryndza, (a wiemy że lubił pisać i tworzył z wielką łatwością), niewiele doszło do naszej wiadomości. Z drobnych jego utworów drukiem ogłoszonych, żadnego prawie nie podpisał swem nazwiskiem. A były to po największej części humorystyczne więrsze, z których ostatni, jeżeli się nie mylimy, zamieszczony został w Dzienniku Warszawskim, jako akt ślubny przez regenta z Rawy pisany. O ile wiemy, wiele bardzo tych więrszy pozostało w rękopiśmie, a odznaczają się one wszystkie dowcipem, szczególną gładkością i wdziękiem formy.

Ale najbardziej znana z jego prac, chociaż o ile mi się zdaje również nie pod jego nazwiskiem wydana na świat, była trawestacya Cyda, przedstawiona w ulubionym na swoje czasy teatryku Dobroczyńności, który się później w teatr Rozmaitości przemienił.

Bardzo niewiele z żyjącego obecnie pokolenia pamięta ten teatryk Dobroczyńności; a zajął on jednak swoje miejsce w historii sztuki i piśmiennictwa u nas i wartoby kiedy skreślić dzieje jego istnienia. Była to prawdziwa szkoła dla młodzieży wchodzącej w życie, szkoła dla artystów, szkoła dla literatów.

Dawno to już, bardzo dawno temu, bo czterdzieści lat blisko. Czterdzieści lat na czasy w których żyjemy, to wiek, to parę wieków. Uniwersytet warszawski kwitnął wtedy w całym blasku swoim, a pod wpływem ówczesnych professorów jego, ludzi wysokiej nauki i zdolności, kształciło się owo młode wówczas pokolenie, które na późniejsze czasy przechowało dla następców swoich wzór niedościgły pracy i wykształcenia.

Niestety! z tego pokolenia, pełnego wtedy zapalu, miłości, nadziei, słabe zaledwie dzisiaj pozostały szczątki, a i te opuszczają nas jeden po drugim.

Bryndza był jednym z nich.

Wówczas to, w obec starszych pisarzy, co uparcie stawiali zaporę rutynizmu klasycznego, przeciw wdzierającym się siłą młodym talentom romantycznym, którym przewodzili Mickiewicz, Malczeski, Zaleski, utworzyło się tutaj grono młodych ludzi, pragnących odżywić teatr i wydrzeć go z tego odwiecznego klasycznego toru po kolei francuzkiej prowadzonego, a rozbrzmiewającego co chwila Barbarami, Ludgardami, Bolesławami, tragedjami oryginalnymi, które od przekładów nieodstępnie im towarzyszących niepodobna było odróżnić. Zastęp ten wzmógł się i ruszył naprzód pod wodzą dwóch poetów, Magnuszewskiego i Gaszyńskiego, którym naznaczonem było zająć kiedyś przeważne miejsce w literaturze.

A ponieważ teatr najsilniejszą jest bronią i najgłośniejszą przemawia do serc i usposobień ogółu, postanowiono utworzyć nową scenę narodową, któraby równoważyła poniekąd wpływ tak zwanego Wielkiego teatru narodowego i teatryku francuzkiego, umieszczonego w pałacu Saskim, a posiadającego już wówczas u nas niemało zwolenników.

Taki był początek teatru Rozmaitości.

Samo z siebie się rozumie, że za autorami poszli artyści. Byli to wszystko młodzi ludzie, początkujący w sztuce i o własnych dźwigający się siłach. Niektórzy z nich przeszli tam ze scen prowincjonalnych, niektórzy, poczuwszy powołanie, zaciągnęli się w szeregi grających i odrazu w praktyce scenicznej pierwsze zaczęli stawiać kroki. Było tam wiele mierności, ale i talent niejedną zablęsnął. Dobra wola, zapal, chęć odznaczenia się starczyły na wszystko. Z owych początkujących podówczas artystów moglibyśmy przytoczyć wiele nazwisk, które w dziejach sztuki w daleko szerszym zakresie poczesne później zajęły miej-

sce. Przedstawiano w tym teatryku małe sztuczki, drobne komedijki i komedyo-opery, prozą, albo prozą i wierszem, przeplatane śpiewkami, a zawsze dowcipne, zawsze żywe, zawsze brane z życia i malujące życie.

I w tém właśnie leżała różnica od sztuk większych, tak zwanych klasycznych, przedstawianych w teatrze Wielkim, które fikcyjne życie, niebываły świat przedstawiały. Teatrykowi Dobroczynności powodziło się z tém dobrze, widzów zawsze było pełno, a o bilety trudno było się doprosić. Pojmowali Warszawianie, że ten teatryk, to własne ich dzieło, że spotykają na nim to o co zwykli się ocierać co chwila, rzeczywistość, ludzi mówiących i działających tak, jak istotnie na świecie mówią i działają.

Na téj drobnutkiéj scenie, gdzie za ledwie wolne miejsce pozostawało do ruchów, znalazła się i gra, i akcja, i prawdziwe nieraz złudzenie.

W tym teatryku przedstawiana była z wielkiém powodzeniem trawestacja Cyda. Niewiadomo nam czy nazwisko autora zostało wymienione, ale w owym czasie mało kto troszczył się o nazwisko: tyle ich było nowych, a każde sympatyczne! Nie wiemy również czy trawestacja ta była drukowaną, ale czytaliśmy ją w rękopiśmie i znaleźliśmy w niej niemało dowcipu, wiersz wdzięczny i ujęty w tę sztuczną formę wyrażen i rymów, która się do utworów podobnego rodzaju najlepiej nadaje.

Pamiętamy jedno miejsce z téj trawestacji. Diego, żelony przez Gomeza, staje przed synem i w komicznie napauszonych wyrazach opowiada mu hańbę jakiej doznał. Wówczas Rodryg na wyrażenie swojego oburzenia wynajduje dwa wiersze nieporównanej, szczególnie na scenie, komiczności. Są one następujące:

Gwałtu! cóż to ja słyszę? Niechby raczej zbójca
Stokroć mnie w papę palnął, niż raz w papę ojca!..

Ale pomimo całego tego oburzenia i wojowniczego zapału, Rodryg, postyszawszy o pojedynku, tuli uszy i daje drapakę. Wyrzuty ojca czynione synowi są wówczas prawdziwie komiczne i żalujemy że nie możemy ich w całości przytoczyć:

Takaż to jest nagroda za moje starania...
Żem ciebie wychowywał w wykwinotnie wielkiej,
Żem ci kupił zegarek, kamizelkę, szelki,
Że od pierwszego krawca kupuję ci fraki?
Ty zato nie masz ojca i za lut tabaki!..
Nie wartes żyć na świecie, dziki poganinie!..

Trzeba pamiętać że wiersze tego rodzaju, do których dzisiejsi czytelnicy już się trochę przy różnorodnym rozwoju piśmiennictwa przyzwyczaili, wówczas były prawdziwą dla nich nowością; że Cyd Kornela pojawieniem się swoim na scenie budził właśnie niepomierny zapał, a tłumacza jego Osińskiego (podobno po przedstawieniu Horacyuszów) odnoszono w tryumfie do domu; że wrzała na dobre walka pomiędzy klasykami i romantykami, skutkiem czego parodowano nawet na prelekcjach literatury wiersze Mickiewicza:

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było, nic nie będzie.

Nic więc dziwnego, że odwet który tłumaczenie Osińskiego spotykał, znajdował licznych zwolenników i propagatorów.

Sztuka kończyła się, jak kończy się wiele pocziwych i dobrze wychowanych tragedji: ogólną śmiercią wchodzących do niej osób. Dopieroż sufler, chcąc dalej podpowiadać, a widząc że niema komu, wychyla głowę z budki. Zobaczywszy same trupy na teatrze, wychodzi na scenę i po krótkim monologu ostateń przebija się manuskrytem.

Zakończenie to bardzo rozweselało widzów, i trawestacja Cyda doczekała się większej liczby przedstawień, aniżeli niejedna z tragedji w Wielkim teatrze przedstawianych.

Bryndza napisał i kilka innych sztuczek, lecz pamiętamy tylko tytuł jednej z nich: *Klara waryatka*. Teatralne jednak powodzenia i rozgłos jaki sprawiły, nie przyczyniały pieniędzy ówczesnym autorom; a że to po większej części byli młodzi ludzie, posiadający więcej zapasów w sercach i w głowach, aniżeli w kieszeni, trzeba im było chwytac się różnych sposobów zarobienia tego marnego grosza, bez którego ani rusz na świecie. Jednym więc z najbardziej używanych środków zarobku były przekłady, przekłady powieści, które wtenczas właśnie w modę zaczynały wchodzić. I Boże mój drogim! za jakież to nędzne wy-

nagrodzenie ta zdolna i pełna dobrych chęci młodzież zabięrała się do téj ciężkiej i znuźnej pracy! Płacono za cały tom jak komu, czasem sto złp., czasem ośmdziesiąt, nieraz pięćdziesiąt, a nawet i dwadzieścia. Tak jest, byli tacy co za dwadzieścia złotych podejmowali się tłumaczyć tom cały powieści! Naturalnie nakładca obowiązywał się zwracać za pióra, papier, atrament i światło, bo inaczej tłumacz musiałby dopłacać chyba do swojej pracy. Bryndza przetłumaczył kilka takich powieści; był to niejako dla niego odpoczynek przy ciągłej pracy kształcenia się i przy zajęciach literackich.

Lecz wkrótce nastąpiła przerwa w tych wszystkich pracach i zajęciach, a potem rozeszły się jednostki i nadaremnie już było szukać dawnych przyjaciół i towarzyszy. I poszedł każdy drogą nie tą którą chciał może, ale która mu się nadarzyła. Bryndza został prawnikiem, oddając się temu pięknemu powołaniu z całą pracą i sumiennością, do jakiej był zdolny, i odtąd już nie prawie albo bardzo mało słyhać o jego pracach literackich. Niewątpliwie zajmował go jeszcze ruch piśmiennictwa, śledził za nim pilnie; ale trudne powołanie jakiemu się poświęcił, cały czas jego zajmowało. W przeciągu tych trzydziestu kilku lat napotykały tylko parę utworów jego w pismach czasowych, zawsze pod obcym nazwiskiem. Dzisiaj więc, kiedy skon przerwał to istnienie na użytecznej spędzonej pracy, postanowiliśmy choć w kilku słowach przypomnieć ziomkom owe zajęcia piśmiennicze zmarłego, które oddalone od nas, tak wyszły wszystkim z pamięci, że nikt z piszących wspomnienia pośmiertne o Bryndzy nie dotknął ich nawet. A uczyniliśmy to tém chętniej, że zajęcia te łączą się z epoką mało nam znaną, a zasługującą jednak na oznaczenie jej należnego miejsca w rozwoju umysłowym kraju. Powiedzieliśmy że coraz mniej tych co pamięcią sięgają owych czasów; a jednak byli to wszystko ludzie z gruntownym wykształceniem i czystemi dążeniami, i oni to może przekazali nam to wszystko, co w nas jest dobrego.

Otrzymałmy list następujący:

„Jeden z numerów Tygodnika Ilustrowanego, podawał projekt sposobu chodzenia po trotuarach warszawskich, tak aby przechodnie wzajem sobie nie przeszkadzali. Była to myśl arcy-praktyczna; dlaczego jednak nie przyjęła się na bruku naszym, to już winą jest częstych i różnorodnych zmian klimatycznych.

„Nie zrażając się jednak niepowodzeniem, czybyś nie chciał podać jakiego środka nie już zapobiegającego nadmiernemu tłoczeniu się do jednej z najwspanialszych świątyń naszych, (bo zdawałoby się to kępować własną wolę, chociaż tłoczenie się smutne częstokroć wywołuje sceny), ale przynajmniej poskramiającego głośnie upominania, udzielane przez jednych drugim za niepotrzebne popychanie się, lubo zarzut taki najczęściej bywa niesłuszny, bo ten którego on spotyka, zawsze prawie znajduje się pod przemocą większej siły, czyli pod ciśnieniem dośrodkowem. W takich zwykłe razach ze strony obwinionego następuje tłumaczenie się, zbijanie zarzutu, tuż znajdują się obrońcy jednej i drugiej strony, a także i widzowie współczujący, z czego wszystkiego taki szmer powstaje, że słów kaznodziei dosłyszec niepodobna, bo głośnie te sprzeczki, powstałe przy pierwszym ukazaniu się kaznodziei na mównicy, podsycane tu i owdzie, nieprędko się kończą, aż ostateń słowa ewangelii świętej przebrzmiają po obszernej nawie świątyni.

„Pożądaniem byłoby także, a możeby i dało się wprowadzić w wykonanie dla wspólnego dobra wyznawców wiary katolickiej, wchodzenie do świątyni jednemi drzwiami, a wychodzenie drugimi, zwłaszcza tam gdzie kościoły są odpowiedniej ku temu budowy. W innych możnaby także uniknąć tłoku, trzymając się przy wchodzeniu i wychodzeniu prawej strony.

„Ileż to przy tak urządzonym porządku oszczędziłoby się obustronnych narzekań, ocaliło sukien, a przysporzyło wdzięku modlitwie, połączonej tym sposobem z poszanowaniem osobistości; ileżby się nadało powagi téj rzeszy, która tu właśnie stanowi prawdziwy kościół! Być może iż chęci te wydadzą się niejednemu dziwnymi, jednakże pożądanymby było i zdaje się już czas wielki, ażebyśmy jeżeli nie gdzie indziej, to przynajmniej tam gdzie przychodzimy dopełnić powinności wyłącznie tylko do ludzi należących, odróżniali się od innych dowolnie poruszających się istot.“

Kilka już razy dotykaliśmy tego przedmiotu. Zbyt nie tłoczenie się po kościołach, pochodzi z niedosta-

tecznej ich liczby na tak wielkie i tak pobożne jak Warszawa miasto.

Trzeba jednak przyznać że w Niemczech, które pod względem ogólnej pobożności daleko niżej stoją, dbałość o porządek kościelny przy odprawianiu mszy i innych obrzędach religijnych mogłaby nam służyć za przykład. W znaczniejszych miastach, jak np. w Dreźnie, ustanowiono tam w każdym kościele szwajcara (odzwiernego), który pilnuje porządku i uderzeniem laski o ziemię napomina rozmawiających, niestosownie zachowujących się i przerywających uroczystą ciszę, która jest głównym warunkiem swobodnego oddawania się modlitwie w domu Pańskim. Podczas kazania zwłaszcza czujność szwajcara zwiększa się i nieradko się zdarza że cudzoziemiec, zwłaszcza nieprzyzwyczajony do téj punktualności, z jaką się tam pilnuje urządzeń, wypraszany bywa za drzwi. Pod tym względem służy szwajcarowi wszelkie prawo dorazne: jest on zarazem sędzią i wykonawcą wyroków, a tym wyrokiem jego każdy musi być posłuszny.

Toż samo przy wejściu i wyjściu z kościoła zachowuje się tam przykładny porządek i wszyscy już tak są do tego włożeni, że tłok jest prawie niepodobnym, a głośniejsza sprzeczka bezprzykładną.

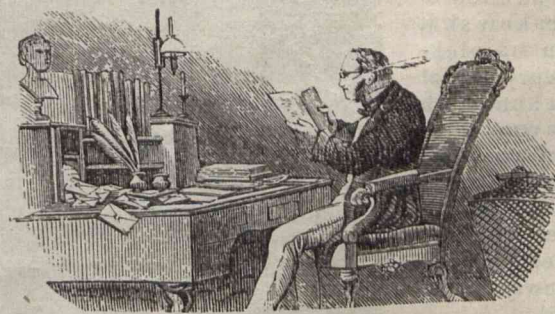
Zdaje nam się że pod tym względem mogliśmy śmiało Niemców naśladować.

W obecnej posusze literackiej zasługuje na uwagę każda sumienna praca donioślejszego wpływu piśmienniczego. Do rzędu takich śmiało zaliczyć można świeżo wydaną w odbicie z Biblioteki Warszawskiej niewielką rozmiarami, ale ważną treścią książeczkę, zawierającą przekład Ifigenii w Taurydzie, znaną tragedji Göthego. Göthe jest jednym z autorów najtrudniejszych do tłumaczenia, a przekład w szczególności Ifigenii, której największa może zasługa leży w formie klasycznych piękności, umyślnie przez znakomitego autora niemieckiego wybranej, zdawał jeszcze te trudności. Piękny biały wiersz tłumacza może służyć za wzór innym pracom tego rodzaju; rytmiczność zachowana w nim starannie, obok szlachetności języka i dokładnego zrozumienia oryginału. Najtrudniej nam przychodzi nazwisko tłumacza wymienić, chociaż nie pierwszy raz oddaje on prace tego rodzaju pod sąd publiczny. Ponieważ jednak my w kronice tygodniowej bierzemy na siebie odpowiedzialność za swoje zdanie, choćby się ze zdaniem samej redakcji Tygodnika nie zgadzało, ośmielamy się dokonać zamachu stanu, wymieniając to nazwisko i obstając przy tém, pomimo opozycji.

Tłumaczem Ifigenii w Taurydzie jest Ludwik Jenike, redaktor główny naszego Tygodnika.

SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze Tygodnika, w artykule o domach dla rzemieślników i wyrobników, na str. 272, w przypisku redakcyjnym, zamiast 7%, powinno być 6% czystego dochodu.



Panu E. K. w Poznaniu. Życiorys J. S. B. odebrany. Opis Ziemstwa wydrukowaliśmy już w Nrze 198 Tygodnika.

Panu Y. X. Z. w Krakowie. Prosimy o cierpliwość i zwrócenie na to uwagi, że jeśli w pismach codziennych zwykłym terminem *odłężenia* się artykułów jest dni kilkanaście, to na pismo tygodniowe, naturalnym porządkiem rzeczy, wypaść musi tyleż tygodni. „Zbyteczną obfitością prac literackich“ pochwalić się nie możemy, ale mamy ich zapas dostateczny i w zamieszczaniu trzymać się musimy pewnej kolei. *Urwana powiastkę* drukowaliśmy nie dlatego, żebyśmy wspólnie z panem uznawać ją mieli za „wielką“, lecz dla istotnych jej zalet i głębszej myśli, obok formy lekkiej, humorystycznej. Tytułom tylko dano spełniać rzeczy *wielkie*; my zwykli śmiertelnicy ograniczyć się powinniśmy na tworzeniu *dobrych*.

Panu A. Ch. na Podolu. Z nadesłanych nam pozycji pierwsza jest nie na czasie, druga, jako tłumaczona, drukowaną być nie może. O obrazki z życia powszedniego i artykuły treści historycznej w liście pańskim wzmiankowane, prosilibyśmy na próbę.

Panu A. P. z M. Otrzymanych próbek poetyckich drukować nie możemy. Z zadania konikowego później może zrobić użytek. Celem nadesłania panu brakującego numeru Tygodnika, prosimy o dokładny adres pocztowy.

KILKA SŁÓW
O PRZEDMIEŚCIU KRAKOWSKIM
KAZMIRZU.

Za dawnych czasów Kraków składał się z trzech miast odrębnych, mających swe osobne magistratury. Miastami temi były: Kraków, Kaźmirz i Kleparz. Dzisiejsze więc przedmieście Krakowa było niedawno osobnym i odrębnym miastem.

Przedmieście to, dziś zajęte zupełnie przez żydowską ludność, jest siedzibą handlu i kramarstwa. Porządnie dwupiętrowe mi domami zabudowane, ma siedm bożnic, kilkadziesiąt szkół i szkólek żydowskich, obok tysiąca sklepów, kramów i straganów, wyłącznie w posiadaniu wyznawców mozaizmu będących.

Patrząc na tę mnogą ludność, zapelniającą wszystkie ulice i place, panującą tu wyłącznie, któżby przypuścił, że początek i wzrost swój Kaźmirz zawdzięcza z jednej strony cudowi, jaki, wedle podań starych, Bóg tutaj objawił chrześcianom; z drugiej strony myśli ważnej i świętej dla całego narodu polskiego, założenia akademii krakowskiej.

Nie zdaje się to być ironią losu? Cud święty katolickiego kościoła i akademią krakowską, ten najpiękniejszy kwiat na konarach dawnej Polski rozwiły, Opatrzność połączyła tak ściśle z losami biędnej moźszowej ludności!

O cudzie wyżej wspomnianym pisze Kromer pod r. 1346.

„Nie można także przemilczeć, co w tym roku zdarzyło się pod Krakowem. Kilku zbrodniarzy, uwiedzeni żądzą świętokradczą, skradli ciało najświętsze, w skrzynce schowane, z kościoła wszystkich świętych, mniemając że skrzyneczka jest ze złota. Gdy się zaś przekonali że skrzyneczka jest tylko pozłacana, wrzucili ją beczestnie w błotniste bagno (1), znajdujące się w przedmiejskiej wsi Bawół pod Krakowem.

„Wnet miejsce to rześmiami światłami, niby pochodniami, dzień i noc świecić się zaczęło. O cudzie tym gdy się dowiedział biskup, nie pojmując przyczy-

ny jego, nakazał post trzydniowy i w orszaku świętobliwych księży i modlącego się ludu, udał się na wskazane miejsce. Tam znaleziono Ciało najświętsze Pańskie, które z wielką uroczystością podniesiono i na pierwotne miejsce wrócono.

„Król Kaźmirz następnego roku rozpoczął stawianie wspaniałej świątyni pod wezwaniem Bożego Ciała, którą z czasem obszernym murem opasawszy, miasto, od swego imienia Kaźmirzem nazwane, założył.“

W następnym roku 1347, według świadectwa Radymińskiego (2), Kaźmirz Wielki wprowadził profesorów do domów wspaniale zbudowanych w téjże

Wzrastający Kaźmirz otrzymał przez to cios silny. Gmachy akademii i domów profesorskich w przebiegu lat następnych rozsypany się w gruzy, a tenże sam los prawdopodobnie spotkał całą część miasta Kaźmirza otaczającą akademią. Jestto dzielnica leżąca w kierunku północno-wschodnim od kościoła Bożego Ciała i dziś stanowi tak zwane „stare żydowskie miasto.“ Druga jednak część, leżąca w stronie zachodnio-południowej téj świątyni, zapewne wówczas stała się ogniskiem życia miejskiego. W téj części było kilka innych kościołów, to jest św. Wawrzyńca, św. Michała, św. Leonarda, św. Katarzyny i Małgorzaty, św. Zofii, a co najgłośniejsza, ratusz miasta Kaźmirza i Sukiennice.

Wokoło tych kościołów tulący się Kaźmirz, rządził się podobnie jak inne miasta polskie prawem magdeburskiem, a magistrat jego zasiadał w pomienionym ratuszu.

Miasto natomiast zamieszkiwała ludność wyłącznie chrześcijańska, Żydzi bowiem mieszcili się w Krakowie, opodal placu Szczepańskiego przy ulicy Żydowskiej i Rogackiej. Rok 1494 stanowi dla miasta Kaźmirza ważną epokę. W tym to roku, za panowania Jana Olbrachta, Żydzi przemieszani zostali na Kaźmirz, a mianowicie w tę część miasta, gdzie dawniej stała akademią.

Opustoszone gmachy kaźmirzowskie otrzymali w r. 1477 darem od Kaźmirza Jagiellończyka kartuzi, którzy tu klasztor budować mieli; skoro jednakże za myśl ten spełził na niczym, wtedy za umówioną opłatą dozwolono je restaurować i zamieszkiwać Żydom i odtąd noszą nazwę żydowskiego



RATUSZ NA KAZMIRZU W KRAKOWIE. (Rysował z natury Gryglewski.)

samą wiośce Bawół i tamże założył akademią krakowską.

Tak więc około pięknego kościoła i akademii krakowskiej, około ognisk religii i oświaty, poczęła się skupiać mnoga ludność, i wkrótce na miejscu błotnistych bagien, wzrosło znaczne miasteczko.

Królowa Jadwiga, gorliwa matka akademii, chcąc ją podźwignąć, przeniósła ten zakład naukowy z błotnistych bagien Bawołu, do miasta na ulicę świętej Anny.

miasta.

Tak więc akademią i gmachy profesorskie do dziś dnia stoją, ale mieszkania doktorów teologii zajęli rabini i kupcy żydowscy, a sama akademią przemienioną została w bożnicę.

Gdy z długiej ulicy na Kaźmirzu wyjdiesz na stare żydowskie miasto, ujrysz po prawej stronie wyniosły gmach, którego piękne i wysokie gotyckie sklepienie na jednym łuku spoczywa. Jestto właśnie tak zwana stara bożnica, a dawna kaźmirzowska akademii; naprzeciw téj świątyni stoi wysoka kamie-

(1) Było to jeziorko zwane naówczas Matha.

(2) Ob. Sołtykowicza: O stanie akademii krakowskiej.

nica, z nader mocnych i grubych murów wzniesiona, to dawny gmach profesorski.

Osiedliwszy się w tém nowém miejscu, gmina żydowska krakowska, odtąd kaźmirską zwana, zaczęła wzrastać materialnie i moralnie. Wzrost materialny, a szczególnie wzrost ludności żydowskiej, wywołał wnet nowe i rozmaite stosunki, tak ze zgromadzeniem kanoników laterańskich przy kościele Bożego Ciała, jakoteż z magistratem części katolickiej Kaźmirza. Trzeba było dla wzrastającej ludności nowe odkupywać place i miejsca; trzeba było ówczesnym zwyczajem zajęta przez siebie część miasta otoczyć osobnym murem i oddzielić się tym sposobem tak od kościołów kaźmirskich, jak od katolickiej części miasta.

Stanęła w tym względzie umowa pomiędzy magistratem kaźmirskim a gminą żydowską w r. 1553 (3), w której między innymi ustanowionem zostało, że w otaczającym miasto żydowskie murze, niewolno Żydom wybijać okien na miasto katolickie, a bram niewolno więcej mieć jak trzy, i to w oznaczonych miejscach.

Mimo jednak takich kontraktów i umów drobnostkowo opisanych i warowanych, nie obeszło się bez sporów i zatargów między gminą żydowską, a panami rajcami kaźmirskimi, w które mieszały się także zawsze prawie księża kononicy od Bożego Ciała, jako w najbliższem z Żydami zostający sąsiedztwie.

I tak w r. 1596 rajcy miasta Kaźmirza, uskarżają się przed biskupem krakowskim na ks. proboszcza przy konwencie Bożego Ciała, za różne bezprawia przez niego popełnione powiadając że „tenże ks. proboszcz przeciwko kontraktom, które ma miasto z Żydami, dopuścił Żydom przy murze miejskim i przy cmentarzu św. Wawrzyńca zbudować szlachtuż, do czego prawa żadnego nie miał, miastu i kościołowi ku krzywdzie. (4)

Wiadomemi są także z dziejów miasta Krakowa zatargi i gonitwy, jakie obyczajem średniowiecznym Żydzi mieli z studentami.

Kaźmirz stanowił osobne miasto aż do 1795 roku. Rząd austriacki, zajmując Kraków, zniósł magistrat kaźmirski, a Kaźmirz zamienił na przedmieście Krakowa, jedno z najrozleglejszych.

Zniesienie magistratu kaźmirskiego było dla Żydów bardzo korzystnym. Rajcy kaźmirscy, zanadto blisko zetknięci z ludnością izraelską, dokuczali jej niezmiernie, dozorowali zbyt ściśle i szykanowali przy każdej sposobności, to wstrzymując w naznaczonych granicach, to nie pozwalając jej przenosić się w chrześcijańską dzielnicę Kaźmirza. Od czasu zniesienia magistratu, zaczęli Żydzi pchać się i wciskać w Kaźmirz katolicki. Magistrat m. Krakowa prowadził wprawdzie z nimi walkę, jako następcę magistratu

kaźmirskiego, ale nieenergicznie; więc też pobitym w niej został. A tak w ciągu pierwszej połowy bieżącego stulecia, Żydzi zajęli wszystkie ulice dawnego katolickiego miasta. Od tego też czasu zniknęły i mury oddzielające. Przed piętnastu laty owładnęli prawie całe przedmieście Stradom, a dzisiaj już wiele

wniez jedna bożnica, zamala aby pomieścić w sobie pobożnych.

Żył wtedy w gminie kaźmirskiej człowiek bogaty, nazwiskiem Isserles. Ten kosztem swoim wystawił opodal gmachu profesorskiego nową bożnicę, a obszerny ogród za nią leżący darował gminie żydowskiej na nowy cmentarz. Było to w połowie XVI wieku. Świątynia ta nosi po dziś dzień nazwę bożnicy Isserlesa. Syn jego, rabbi Mojżesz Isserles, był bardzo uczonym i zjednał sobie między Żydami całej Europy wielką sławę. Mimo jednak ówczesnych uprzedzeń i wyłączości Żydów, rabbi Mojżesz kochał nadzwyczajnie swoją ojczyznę. Między listami jego, dotąd przechowanymi, znajduje się list pisany do rabina w Pradze czeskiej, który go namawiał, aby opuściwszy Polskę, przeniósł się do Niemiec. Rabbi Mojżesz odpowiada, iż pomimo najświetniejszych ofiar tego nie zrobi, bo swą ojczyznę Polskę kocha bardzo i nie go nakłonić nie zdoła do jej opuszczenia.

Przytoczyliśmy ten wyjątek jako dowód, że Żydzi kaźmirscy dawno już mieli poczucie obywatelstwa kraju, w którym znaleźli nową ojczyznę.

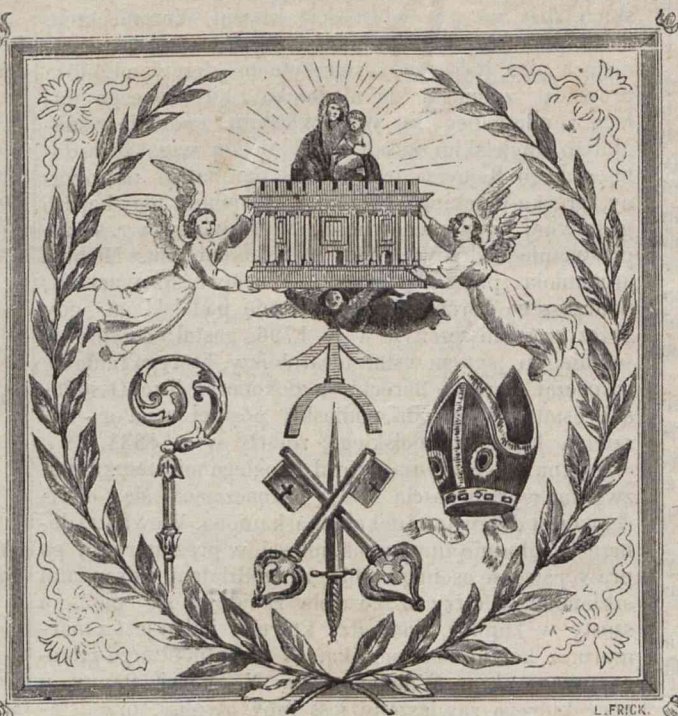
Pamięć rabbi Mojżesza przechowuje się dotąd między mieszkańcami Kaźmirza, a nagrobek jego, który Żydzi uważają za najpiękniejszą ozdobę cmentarza, odnawianym bywa co kilka lat, kosztem kahału kaźmirskiego.

Oprócz bożnicy Isserlesa, w ciągu dwóch następnych wieków wystawili Żydzi jeszcze pięć nowych, co dowodzi że gmina ich szybko wzrastała.

Przedmieście Kaźmirz leży na wyspie oblanej Wisłą i kanałem zwanym tu starą Wisłą. Niegdyś otaczał je mur obronny, którego szczątki dziś jeszcze widać. Prowadziły doń trzy bramy, jako to Gliniana, Wisłana i Skawińska. Z Krakowem łączy go dwa mosty przez starą Wisłę rzucone, jeden kamienny wiodący do dawnego Kaźmirza katolickiego z przedmieścia Stradom, drugi drewniany, łączący miasto żydowskie z ulicą Starowislaną. Jest także od kilku lat most trzeci, wyłącznie do użytku kolei żelaznej galicyjskiej.

Stara Wisła jestto przekop płytki, przy niskim stanie wody nie płynący, który zaraża miasto niezdrowemi wyziewami. Niezbyt dawno miano go pogłębić i zmienić kierunek, puszczając wzdłuż murów żydowskiego miasta. Koszta miały być znaczne, lecz Towarzystwo kolei żelaznej galicyjskiej chciało się w znacznej części do nich przyłożyć, gdyż oszczędzało przez to budowy nowego mostu z kamienia na starej Wisle. Ale mądrzy, w sztuce biegli uznali ten projekt za niepraktyczny i grożący Podgórzowi zalewem (?), więc z uszczerbkiem zdrowia licznych mieszkańców Kaźmirza, wyziewami zarażanych, nie przyszedł do skutku. Czwarty most kamienny, przez nową Wisłę łączy Kaźmirz z Podgórzem; piąty drewniany, także przez nową Wisłę, służy również dla kolei galicyjskiej.

Ratusz, który przedstawia rysunek, był siedzibą magistratu Kaźmirza, kiedy jeszcze miasto osobne stanowił; później rząd wolnego miasta Krakowa umieścił w nim szkołę przemysłowo-handlową dla Żydów,



DAWNY HERB PRAGI.

domów posiadają w mieście.

Obejrzyjmy się teraz po przedmieściu Kaźmirzu. Na wielkim czworokątnym placu, dokoła otoczonym domami, w pośrodku między dawnym gmachem profesorskim a akademią, założyli sobie Żydzi, zaraz po przeniesieniu się tutaj z Krakowa, cmentarz mały. Cześć jaką zachowują dla zwłok umarłych utrzymała



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W REJOWCU.

(3) Feria post festum St. Petri et Pauli apostolorum A D. 1553. Znajduje się ten dokument w aktach grodzkich krakowskich.

(4) Akt ten znajduje się w zbiorze aktów grodzkich krakowskich, będących własnością Towarzystwa archeologicznego w Krakowie.

pierwszy ten cmentarzyk, odnoszący się do 15 wieku, aż po dziś dzień. Był on do niedawna opasany drewnianym tylko parkanem i świeżo dopiero kosztem kahału otoczony został murem kamiennym. Mały ten cmentarzyk niedługo odpowiadał potrzebom wzrastającej gminy żydowskiej i nie odpowiadała im ró-

z przemusem uczęszczania do niej. Dziś, stosownie do systemu austriackiego, zamienioną została na szkołę normalną.

Gmach ten kaźmirzowski, struktury podobnej Sukiennicom, z niewielką wieżą zegarową, nie jest utrzymywany jak na to zasługuje. Obok niego w miejscu gdzie teraz ulica, były Sukiennice podobne do krakowskich, lecz o połowę mniejsze; ale te, zagrożone upadkiem, za rządów Poniatowskiego rozebrano.

Z dawnych kościołów pozostało tylko cztery. Najstarszy św. Michała na Skalce, pamiętny zabójstwem św. Stanisława. Drugi św. Katarzyny i Małgorzaty w r. 1343 przez Kaźmirza W. założony, wspaniały, gotycki. Zamieniony przez rząd austriacki do r. 1796 na magazyn siana, uległ znacznemu nadwężeniu. Trzeci gotycki, ogromny, z wysoką wieżą Bożego ciała, przez tegoż króla w r. 1347 założony. Czwarty św. Trójcy, wystawiony w r. 1686 ze składek pobożnych dla zakonników trynitarzy, trudniących się wykupem niewolników. Dziś przy nim mieszczą się oo. bonifratrzy i utrzymują niewielki szpital.

Na Kaźmirzu jest także szpital żydowski, ale bardzo szczypliwy i niewygodny na taką ludność. Prądziwy to wyrzut dla licznych, a w znacznej części oświeconych i bogatych mieszkańców Kaźmirza, że się do dziś dnia nie zdobyli na nowy i dogodny szpital dla biednej braci.

Istnieje także od r. 1846 ochrona dla dzieci żydowskich, założona przez Zerchę Goldgart, Sprincę Blatteis i Eidelę Hebalde.

Na polach otaczających Kaźmirz odbywały się aż do panowania Sobieskiego popisy czyli gonitwy szlachty krakowskiej. Odtąd ten zwyczaj poszedł w niepamięć.

Ludność dzisiejsza Kaźmirza wynosi 46—47000, między którymi bardzo mało jest katolików.

DAWNY HERB PRAGI.

Do połowy XVII wieku Praga była jeszcze wsią, której część w roku 1565 została w posiadaniu rodziny Praskich, dawniejszych dziedziców całej włości, druga zaś połowa należała do Jana Zamojskiego, hetmana i kanclerza wielkiego koronnego. W roku 1583 drogą zamiany nabył od nich całą Pragę Marcin Białobrzelski biskup kamieniecki, na rzecz swojej kapituły i w ten sposób długo była pod zarządem pasterzy tej diecezji, zanim osobnym i niezależnym miastem, a następnie przedmieściem stolicy polskiej została. Jeden z owych biskupów Michał Działyński, wraz z całą kapitułą, pragnąc aby posiadłość nabrała większego wzrostu, wyjednał u króla Władysława IV przywilej na utworzenie z niej miasta, któreby osobnymi prawami się rządziło, korzystało z prerogatywy i swobód wspólnych innym miastom Rzeczypospolitej. Król chętnie się nato zgodził, zważając, jak wydany w r. 1648 przywilej opiewa, „iż miejscu temu, gdzie kaplica loretańska niedawno jest wystawiona, większa ztąd chwala Boska przybędzie i na rozszerzenie czci Najświętszej Panny loretańskiej najsilniej wpłynie, miasto zaś stanie się w uczczeniu Bogarodzicy wielkim Rzeczypospolitej zaszczytem i wygodą.“

Powyzsze przyczyny, w przywileju erekcyjnym wyrażone, były także powodem ku ułożeniu, stosownie do tej myśli, herbu Pradze jednocześnie nadanego. Ztąd przedstawia on u góry kaplicę loretańską, przez trzech aniołów podtrzymywaną, na wierzchu której widać Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, promieniami otoczoną. Pod kaplicą umieszczony jest herb Ogończyk, rodziny biskupa Działyńskiego, jako założyciela nowego miasta, z godłami biskupimi, infulą po lewą, a pastorałem po prawej stronie. Na samym zaś dole wyobrażony herb kapituły kamienieckiej, (dwa klucze na krzyż złożone, mające w środku miecz ostrzem do góry obrócony), jako właściwej dziedziczki tego grodu.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY

W REJOWCU.

Na wzgórzu otoczonym z dwóch stron łąkami, za którymi widać lasami okryte góry, położone jest miasteczko Rejowiec, niegdyś do ziemi chełmskiej, dziś do gubernii lubelskiej, powiatu krasnostawskiego i okręgu chełmskiego należące.

Zawdzięcza ono początek swój sławnemu w piśmiennictwie polskim szesnastego stulecia Mikołajowi Rejowi z Nagłowic, który otrzymawszy za żoną dobrą Kobylce, w tych stronach założył w r. 1547 miasteczko i od swego nazwiska Rejowcem je mianował. Król Zygmunt 1szy, chcąc dać dowód względów swo-

ich dla głośnego i zasłużonego w kraju pisarza, potwierdził tegoż samego roku ową lokacją, nadał miastu prawo niemieckie i innymi swobodami je obdarzył.

W następnych czasach Rejowiec zostawał zawsze w posiadaniu rozmaitych możnych rodzin polskich, będąc dziedzictwem Rzewuskich, Boreckich, Ossolińskich, dziś zaś jest własnością książąt Woronieckich. Że ci panowie w niem mieszkali, dowodzi dotąd istniejąca alea, wysadzana starożytnymi drzewami, która prowadzi z miasta do niedaleko ztąd będącego pałacu zbudowanego w stylu włoskim, z równie wspaniałym angielskim ogrodem. Cenniejszą wszakże ozdobą samego Rejowca jest kościół parafialny murowany, grecko-unickiego obrządku, skromnej ale bardzo gustownej powierzchności. Wystawiony w r. 1720, pierwotnie z drzewa, pod wezwaniem św. Michała archanioła, przez Seweryna i Wacława Rzewuskich, podczaszego koronnego i wojewodę podolskiego, gdy przez czas zniszczony, w r. 1796 został rozebrany, w miejscu jego powstał terazniejszy, którego budowę rozpoczął starosta Borecki, a dokończył Józef Ossoliński, ostatni wojewoda podlaski, później senator - kasztelan królestwa polskiego, zmarły w r. 1834.

Piękna ta świątynia, wśród ubożego miasteczka niezwykłą wytwornością swoją odznaczająca się, obsadzona jest drzewami i dokoła oparkaniona. Wewnątrz dobrze i schludnie utrzymana, mieści w prezbiterium po prawej stronie osobną kaplicę z przedziałem i drzwiami szklanymi. Ołtarzy w kościele znajduje się pięć, a szósty w kaplicy, pomiędzy którymi jeden jest z marmuru, z kosztowną mozaiką. W wielkim ołtarzu zwraca uwagę obraz Wniebowzięcia N. Maryi Panny, u góry którego zawieszony jest inny owalny, przedstawiający także Matkę Boską. Oba wcale dobrego pędzla.

SCENA Z „FAUSTA“ LESSINGA. (*)

Faust i siedm duchów.

FAUST.

Wyż to, przezemnie z piekieł wywołani,
Jesteście słudzy najprędsi otchłani?

DUCHY WSZYSTKIE.

My.

FAUST.

Czy jednaką siłą obdarzeni?

DUCHY WSZYSTKIE.

Nie.

FAUST.

Któż najprędszy z piekielnego grona?

DUCHY WSZYSTKIE.

Ja.

FAUST.

Dziw! na siedm sług beznadziejnych cieni,
Sześć tylko kłamie. Chcę was poznać bliżej.

1szy DUCH.

Słusznie—zaczynaj.

FAUST do pierwszego.

Ty jak jesteś chyży?

1szy DIABEL.

Daj próbę, może ją który wykona.

FAUST.

Patrzaj co robię.

1szy DUCH.

Przez światła płomień

Przesuwasz palec.

FAUST.

Płomień ich nie ima.

Tak ty przez piekiel żarzące przestrzenie
Nieoparzony masz przebiez siedm razy.
A co—struchlałeś?..... Najlżejszego grzechu
Żaden z was diabłów siły nie wytrzyma.
(Do drugiego) Imię twe?

(*) W ogólnym zbiorze dzieł Lessinga, wydanym w Lipsku u Göschen'a r. 1855, znajduje się tylko plan niewykończony i kilka dyalogowych urywków z „Fausta“; cały utwór, który według zapewnienia v. Blankenburg'a istniał, nieszczęśliwie zaginął. Myśli zawarte w scenie, którą z prozy na wiersz przełożoną podaję, warte są zaiste powtórzenia i to mnie skłoniło do spolszczenia tego urywku.

2gi DUCH.

Echil— w nudnej ziemi mowie:

Strzała zarazy.

FAUST.

Daj miarę pośpiechu.

2gi DUCH.

Pośpiech mój niechaj ci imię wypowie.
Jestem tak prędki jak strzała zarazy.

FAUST.

To mało. Idź, służ medycyny studze.
Cierpliwość moja do dna się przechyla....
Żółwił daremnie myśl i słowa trudzę.
Wystąp ty trzeci—imię twoje?..

3ci DUCH.

Dyla.

Na skrzydłach wiatru wznoszę się bez końca.

FAUST.

Czwarty?..

4ty DUCH.

Jam Jutta, mknę w promieniach słońca.

FAUST.

Wy, na pęd których próżno ziemia cała
Szuka wyrazu... nędzni!..

5ty DUCH.

Spójrz tu przecie—

Tamci są zwykli posłańcy szatana
I krążą tylko w ciasnym kole ciała;
Lecz nam do usług inna część oddana,
My w nieujętym błędzim duchów świecie,
Na nas niesłusznie gniew twoja myśl miota—
Tu znajdzie, naco tam daremnie czeka.

FAUST.

Jak prędkim jesteś?

5ty DUCH.

Jako myśl człowieka.

FAUST.

Jak myśl człowieka... o tak, to coś znaczyl....
Prędka... niezawsze—gdy prawda i cnota
Wesprą ją, zamrze w błyskawicznym pędzie,
Pochód jej wtedy leniwy, ślimaczy....
Możesz gdy zechcesz lot bystry rozszerzyć,
Że zechcesz—jakaż na to pewnośc będzie?...
Tyle co sobie mogę ci uwierzyć—
To mało.— Szósty....

6ty DUCH.

Jak zemsta mściciela.

FAUST.

Zemsta mściciela.... jakiego mściciela?

6ty DIABEL.

Ha potężnego,—któremu w krwi dymie
Kadzido wonne zemsta okrutnego,
Który jej z piekłem nawet nie podziela.

FAUST.

Diabeł! ty bluźnisz.— Zadrzałeś— dlaczego?
Jak zemsta czyja? mów!.... O mało imię
Z warg mych nie zeszło. O nie, między nami
Niejawne ono. Ja mówię, ja żyję—
Czuję i bryzgam naokół słowami....
Więc nie tak szybka ta zemsta mściciela.

6ty DIABEL.

Bo on chce tego gdy gromem cię bije.

FAUST.

Zemsta nieprędka—i jeśli twe skrzydła
Nieprędsze—precz ztąd, postaci obrzydła!
(Do siódmego) Ostatni! jaka prędkość biegu twego?

7my DIABEL.

Nienasycony—chciałbym najgoręcej,
Lecz wąpię czyli zdołam ci dogodzić.

FAUST.

Jak prędki jesteś?

7my DIABEL.

Ani mniej ni więcej,

Tylko jak przejście od cnoty do złego.

FAUST.

Ha—to mój diabeł!..

Karol Pienkowski.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

17 lipca.

W dniu 5 czerwca, dywizja generała Bazaine zajęła Meksyk, po ustąpieniu zaś załogi meksykańskiej, cała armia francuska wkroczyła do stolicy. Opinia publiczna, przyjąwszy obojętnie tę wiadomość, nieprzestaje wszakże zajmować się sprawą meksykańską. Najsprzeczniesze pogłoski krążą po dziennikach. Podczas gdy jedne uporczywie twierdzą o osadzeniu arcyksięcia austriackiego na tronie Montezumy, inne upatrują w działaniach rządu francuskiego widoczną chęć urzędzenia nowego królestwa, pod władzą jednego z książąt francuskich. Zdaje się iż ani jedno z tych przypuszczeń utrzymać się nie zdoła w przyszłości. O dalszych postanowieniach i zamiarach Juareza nie wiadomo. Wiadomości otrzymane z Madagaskaru coraz silniej usuwają obawy zakłóceń, jakiegoby wynikiem mogły w skutek zmiany rządu na wyspie. Królowa Rabodo oznajmiła urzędownie Anglii i Francji, że pragnie wypełnić zobowiązania swego męża względem cudzoziemców i ściśle strzedz traktatów zawartych z Radamą II. Cesarz bawi w Vichy. Tamże udał się z Rzymu poseł francuski książę Latour d'Auvergne. Nowiniarze upatrują w tém negocjacye w kwestyi rzymskiej. Cesarzowa, w zastępstwie swego małżonka, prezyduje na radzie ministrów.

Na ostatnich posiedzeniach izby wyższej w Londynie, lordowie Carnarvon i Grey surowo zganili gabinet za nowe zaczepne kroki względem Japonii. Lord Russell bronił polityki rządu, zdaje się wszakże iż gabinet pragnie wycofać się z tej kwestyi, zezwolił bowiem na przedłużenie terminu odpowiedzi japońskiej na swoje ultimatum. Na posiedzeniu izby gmin w dniu 13 b. m. p. Roebuck cofnął swój wniosek w sprawie amerykańskiej, oświadczywszy że nie pora zajmować się teraz tą kwestyą, oręż bowiem wkrótce rozstrzygnąć może sprawę na korzyść separatystów. Twierdzą, ale wiadomość ta wymaga jeszcze potwierdzenia, że królowa angielska, po naradzie z królem Leopoldem belgijskim, postanowiła usunąć się w jesieni od spraw publicznych i abdykować na rzecz swego syna. Morning Post zbija półurzędowo wszelkie pogłoski o udziale Anglików w zaburzeniach na Madagaskarze.

Rada państwa cesarstwa austriackiego zgromadziła się powtórnie. Na posiedzeniu w d. 14 lipca, minister sprawiedliwości wniósł kilka propozycyí dotyczących swobody osobistój i prawa stowarzyszenia w Austrii. Prawdopodobnie rada odroczy się znowu na kilka tygodni i zbierze się dopiero po przybyciu deputowanych sejmu siedmiogrodzkiego. Federaliści z góry zapowiadają centralistom, że Sasi wraz z Rumunami głosować będą według życzeń Węgrów, a zatem wbrew wszelkim życzeniom i nadziejom p. Smerlinga. Kwestya reformy związku niemieckiego żywo zajmuje umysły wiedeńskie. Dzienniki, sprzyjające przewadze austriackiej, podają następujące punkta reformy: 1) Dyrektoryat złożony z siedmiu członków 2) parlament 3) wejście Austrii z wszystkimi prowincjami, nie wyłączając Galicji, do Związku niemieckiego. 4) przyjęcie barw i bandery niemieckiej. Projekt ten według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie przyjęty przez Prusy. Gazeta krzyżowa zapewnia, że cesarz austriacki odwiedzi króla pruskiego w Gastein. Z Berlina nie godnego uwagi.

Wiadomości z Nowego-Yorku brzmią coraz niepomysłniej dla rządu Lincolna. Podczas gdy generał Grant ciężką poniósł klęskę pod Vicksburgiem, a generał Banks pod Port-Hudson, cała armia separatysty Lee wkroczyła do Pensylwanii. Naczelný wódz armii północnej generał Hooker złożył dowództwo. Następcą jego ma być generał Meade. Spodziewają się ostatecznego spotkania się na polach hrabstwa Cumberland.

Depesza z Aten z d. 10 lipca podaje szczegóły o wypadkach zaszłych w Grecji. Minister wojny Koroneos następcą Botzarisa, zmuszonego do usunięcia się, złożył z urzędu dowódzcę artylerji i szefa batalionu Lotzakosa. Wówczas oddział tego ostatniego, dopuściwszy się gwałtu, porwał dwóch ministrów i zmusił ich przywrócić do dawnego dowództwa dwóch usuniętych naczelników. Utworzyło się nowe zgromadzenie, którego Koroneos nie uznał, wraz z połową załogi i całą gwardyą narodową. Nareszcie lud ateński zmusił obie strony do pogodzenia się i tym sposobem powstrzymał wyjazd ambasadorów. Spokojność odłąd nie została naruszona. Z tém wszystkiém wiadomość o tych wydarzeniach przykrę zrobiła wrażenie na królewsko-duńskiej rodzinie. Utrzymują że król Jerzy nie uda się do Aten, jeżeli Grecy nie zgodzą się na

czasowe zajęcie stolicy przez wojska zagraniczne, lub też na rozwiązanie teraźniejszej armii.

Książę Amedeus, drugi syn króla Wiktora Emanuela, udaje się w podróż do krajów skandynawskich. W skutek zabiegów rządu francuskiego, były król neapolitański Franciszek II opuścić ma Rzym i udać się do Wiednia. Zapewniają także iż generalowie: Bosco, Herrera i kilku innych stronników Franciszka II wydaleniu zostaną z dzierżaw kościelnych.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Constit. France. Jour. des Deb.)

Ostatnie depesze. Paryż 13 lipca. Monitor zaprzecza wysłaniu p. Hubert-Delisle z misyą nadzwyczajną do Meksyku. Niektóre dzienniki utrzymują, że tylko pięć tysięcy Francuzów pod dowództwem generała Bazaine pozostanie w Meksyku, reszta zaś wojska wrócić ma podobno do Francji. Król portugalski i królowa hiszpańska nadesłali powińszowania z powodu wzięcia Meksyku.

Londyn 15 lipca. W początkach sierpnia królowa pojedzie incognito do Rosenau, pod nazwiskiem księżny Lancaster, zabawi dzień w Brukselli i powróci do Anglii w początkach września.

Kopenhaga 15 lipca. Dzisiejszy Dagblatt powiada: zbrojne zajęcie Holsztynu z powodu rozporządzeń marcowych nie jest wcale aktem związkowym, ani egzekucyą, lecz wojną.

Bruksella 15 lipca. Kongres 18 państw, celem skupienia cel na Skaldzie, zebrał się w dniu dzisiejszym. Jutro ostatnie posiedzenie i podpisanie traktatu.

MIŁOŚĆ I BASETLA,

wspomnienie z czasów studenckich.

Skręślił

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

(Z rysunkami Pillatego.)

(Dokończenie).

Doprowadziłem ją wreszcie, zgubiwszy jeden trzewik w błocie. Chciała dziękować i coś jeszcze powiedzieć, i za rękę ścisnęła z całej siły. Wyrwałem się i bez pożegnania uciekłem. Wracając pędem, zgubiłem drugi trzewik. Zmęczony, spocony, zły i zaferowany, wpadłem do swego pokoju. W nocy dostałem mocnej gorączki; zdało mi się w gorączkowym marzeniu, że gdzieś przez góry i wody uciekam, a za mną gonią dwa olbrzymie, od ziemi do nieba sięgające kapelusze, a z każdego wyszczerza się twarz wykrzywiona i pyzata panny Genowefy, grożącej mi trzewikiem jak maczugą. Okropną noc przepędziłem, a choć mi się okazała twarz Klementyny, zdawała się drwić i szydzić ze mnie.

Możeby się była gorączka na niczem skończyła, ale troskliwy mój opiekun zawołał aż dwóch lekarzy, wyszukawszy we mnie mnóstwo słabości nader niebezpiecznych. Jak mnie zaczęli kurować, tak naprawdę zasłabłem i cztery tygodnie przeleżałem w łóżku, otoczony pigułkami, ulepkami i proszkami bez końca. Naostatku nie miałem gorączki, ale i sił nie miałem.

Leżąc samotnie, nie mogąc spać, na tém najwięcej cierpiałem, że nie mogłem widzieć Klementyny. Chciałbym jednej chwili wyskoczyć na trzecie piętro, z którego, muszę oddać tę sprawiedliwość, dowiadywano się często i troskliwie o mnie.

W czasie tej słabości dziwny był stan mojego serca. Czulem że kocham zawsze piękną Klementynę; ale były znowu chwile jakiegoś dziwnego odczarowania, w których zdawało mi się nieraz, że jakaś zimna ręka przesuwa mi się po sercu i obraz Tyni karykaturuje aż do obrzydzenia. Z tém wszystkiém miłość przeważała; wdychałem za zdrowiem, aby polecieć na górę i upaść do nóg, i... byłem gotów żenić się naprawdę.

W kilka dni, gdy byłem już zdrowszy i zasnawszy marzyłem o rumianych usteczkach, ujętych w ramę dwóch bukietów, śniło mi się że z moją Tynią unoszę się lekko w niebo, z kądem dochodziła mnie jakaś harmonia cudnej piękności, na nadziemskich instrumentach odegrana. Nagle niebieską harmonią przerywa jakiś okropny, przeraźliwy głos, jakby trąby chrapliwej. Zbudziłem się, ale sen trwa jeszcze, bo rzeczywiście słyszę jakąś muzykę, tak przeraźliwie nieharmonijną, jakby mi sto kotów nad uchem miauczało. Przecieram oczy, podnoszę głowę: muzyka nie ustaje i słyszę wyraźnie rzępolenie rozdzierające ucho. Mówiłem już że miałem ucho nader drażliwe; ta muzyka urażała moje czucie muzyczne do najwyższego stopnia. Zatykam uszy, chowam głowę pod poduszkę; gdzie tam, to straszne rzępolenie słyszę ciągle. I wyraźnie ta muzyka odzywa się z góry.

Nagle przypominam sobie, że to koncert amatorski na trzecim piętrze. Trwał koncert do późnej nocy,

gorączka moja się wzmogła. Sześć razy przez ciąg swojej słabości przebyć musiałem taki koncert. Ale jak! To było non plus ultra rzępolenia, nieuctwa, nieharmonii, najokropniejsza walka na śmierć z taktem. Co wieczór drżałem ze strachu, bym znowu tej muzyki nie słyszał. Dziwna zaszła we mnie zmiana. Każdy ton tej muzyki, krając mi serce, zdawał się z niego wyrwać sztuka po sztuce całą moją idealizowaną miłość do Klementyny. W czasie trwania każdego koncertu nie pojmowałem, jakim sposobem mogę kochać dziewczynę żyjącą w tak nieharmonijném otoczeniu. Nadaremnie przemawiało czasem serce za nią; ucho w kilka dni ranione boleśnie, potępiało ją. Dlaczego tak było, nie umiem wytłumaczyć, ale tak było, a nie inaczej. Była-li to wina serca czy ucha? nie wiem i dziś nawet o tém stanowczo nie śmiałybym wyrokować. Przy szóstym koncercie wionęły doręszty wszystkie moje romantyczne ideały, w które ustroiłem swoją kochankę. Przy ostatniém fałszywem smyczka pociągnięciu, co mię z góry doleciało, jakby kto nożem po talerzu skrobał, zdało mi się że widzę Klementynę ze ścierką zamiast fartuszka, krającą cebulę w kuchni.

VII.

Nazajutrz po ostatnim amatorskim koncercie, wstałem z łóżka z silném postanowieniem, że już nie pójde na trzecie piętro. Lecz gdy się ubrałem, ani wiem jakim sposobem znalazłem się na schodach. Między drugim a trzecim piętrem powiedziałem sobie:

Czy lęzę w oku, czy uśmiech na twarzy Klementyny zastane, to będzie wróżba.

Drzwi do pokoju zamknięte były; wchodzę przez kuchnię i zastaję w niej Klementynę ze ściereczką, śmiejącą się szalenie do kucharki.

— A, pan już zdrow! rzekła do mnie, chwala Bogu. Hanusia mi rozповідаła o małpach i psach, które teraz przyjechały i śmieszne bardzo sztuki pokazują, musimy tam razem pojsć. Idź pan do pokoju ja zaraz przyjdę, tylko makaron pokraje.

Ciemno mi się w oczach zrobiło. Wchodzę do pokoju; panna Genowefa rznie na fortepianie jakąś radawaczkę bez taktu, bez talentu i bez kilku klawiszów, które w starym fortepianie nie odpowiadały.

— Żegnaj cię, pierwsze złudzenie moje! przeleciało mi przez głowę skrzydłem niedopérza. Chciałem westchnąć, ziewnąłem tylko.

Przywitanie było dosyć czule, wypytywania niepospolicie nudne, a jeszcze nudniejsze loca communia, które mi bawiono z pół godziny.

— Słyszał pan nasze koncerty, ozwała się Genowefa, przewracając oczyma nader sentymentalnie.

— Szkoda że pan nie gra na jakim instrumencie, dodała kapitanowa.

Szalona i godna studenta przeleciała mi myśl przez głowę.

— I owszem, odrzekłem pędkiem, bez zastanowienia; ja gram.

— Na jakim instrumencie?

— Na baselli, odpowiedziałem najpoważniej.

— Czy być może? a my pana nigdy nie słyszeli.

— Bo mój opiekun nie lubi muzyki. Moja basella jest u jednego z moich przyjaciół, gdzie grywamy kwartety.

— A to precudnie, zawołała kapitanowa z zaiskrzonymi od radości oczyma. Możebyś pan chciał należeć kiedy do naszych koncertów... Do skrzypców, fletu i fortepianu, baselli właśnie brakuje.

— Najchętniej, odpowiedziałem uprzejmie i śmiało, chociaż w życiu nigdy baselli w rękę nie miałem.

— Może pan raczysz pozajutrze... Ale możeby trzeba próby piérwej.

— Ja grywam prima vista.

To prima vista zaimponowało kapitanowej niepospolicie; miała mnie za ogromnego wirtuoza. Umówiwszy się tedy na trzeci dzień, wyszedłem. Nie chcąc ani chwili się zastanawiać nad tém co uczynić zamyslałem, pogoniłem copędzej za miasto. Edwarda, Mikołaja, Tadeusza i Karola, najlepszych kolegów swoich, wysłałem na wszystkie strony za basellą, a żądałem jak może być największej. Niemała była radość, gdy w sam dzień koncertu dostałem wreszcie basellę. Czekałem z niecierpliwością naznaczonej godziny i ani na chwilę nie zawahałem się, chociaż zaglądała mi jeszcze czasem do serca ładna twarzyczka Tyni, z miną smutnej wymówki; ale w tej samej chwili drżały mi znowu w uchu przeraźliwe tony, co mnie tak okropnie przez ciąg słabości mojej przesładowały.

O godzinie naznaczonej, ugalonowany lokaj mego opiekuna zaniósł basellę na trzecie piętro; w kilka minut później przybyłem sam z miną nader poważną; nawet uśmiech złotny panny Klementyny nie

